

Zabiłam żabę

zabiłam żabę
pomocy
zabiłam bo on też umiał
mieć gorzkie zielone oczy
(choć brak im twojego uroku)
też miał dwie dłonie i usta
i też chciał mieć pannę u boku

podałam mu dłoń i guziki
okrągłe jak żabie ślepia
błagałam, lecz bies nie odchodził
wpadł mi pod koła
i czekał
więc dałam mu trzy pocałunki
trzy ładne słowa
trzy łyzy
żaba umiera po cichu
cierpi w milczeniu
jak ty

zwierzyłam się w szeptach Gertrudzie
jej rzęsy tuliły jak koc
mówiła, że niegdyś w Mariackim
Żubra szukała co noc
że płakał po niej trzy lata
cztery jesienie
pięć zim
i płacze gdy wiosną

jej rzęsy odrosną

i płacze a ona

wraz z nim

zabiłam żabę

płakałam w twe ramię

jak gdyby ta żaba się mściła z za grobu

zabiłam żabę

lecz tobie płakałam

z zupełnie innego

gadziego

powodu

Verbascum

dziewanna stroni od końskich much
i chrabąszczy
rumianych wieszczków nocy
ze skruchą niosących kokardę
urwaną z ciągnionych warkoczy

stroni od
plastrów zrywanych z sykiem z kolan
virtuti militari z tektury
jaszczurek wysłanych z zadaniem:
raportem lepkości jej skóry

tego lata
dziewanna sama podlewa krasnym kompotem
pierwsze kwitnące dziko
egzotyczne nasturcje

w kwaśnym średniowieczu rozkoszowano się
smakiem zimnej
wody
dziś mi to nie grozi:
wprowadzono przepis
pachnący czymś nowym
a jednak włożonym między bajki
bynajmniej nie o dziewczynkach
tulących w dłoni
zapalki

w moim domu są całe półki baśni
królowa śniegu i śmierć
przyszły siostrze z pomocą
w moim domu nie ma książek z przepisami
babcia zawsze postępuje
na własne trzecie
oko

kraina płynąca mlekiem i miodem
otwiera się z przymknięciem ceramicznych powiek
cienką granicę chińskiej porcelany
łatwo przekroczyć
z pierwszym łykiem kawy

rant chichocze w twoje usta
filozofię wyszczerbienia
chcąc z czcią chłonąć pościel w gwiazdki
sięga szczytu
podniebienia

równym marszem między zęby
płynie cały poczet królów
wśród ich butów –
biały królik
banita na mankiet twej Inianej koszuli

na której mleczny kleksik
zdaje się być słodszy niż kiedykolwiek

Walc orłowski

Prolog

W dniu świętego Marcina orłowskie salony cieszą się wyjątkową popularnością wśród spragnionej szczypty orientu bohemy. Właściciele słynnej kawiarni artystycznej szczycą się bowiem tym, że deszczową jesienią w ich lokalu nabyć można rogale, które w smaku do złudzenia przypominają te poznańskie. Jediną różnicą jest mak, czarny jak oczy Mefistofelesa. Trójmiejskim artystom egzotyka Poznania kojarzy się jedynie z mile łechtającą podniebienie słodczą tychże rogali – z lichego zarobku za poczynione dzieła trudno zbierać na filiżankę kawy, a co dopiero na bilet kolejowy! Dlatego też gospodarze orłowskiej kawiarni, długowłosa portrecista i jego eteryczna żona, by nie odmawiać przyjaciołom z branży trunku czy gorącego naparu, dopisują pod kreską co raz to nowe nazwiska, a spod kreski wyjść niełatwo...

I

Salony orłowskie, orłowskie salony –
Komu Bach gra w piersi, będzie tu zbawiony.
Kogo Melpomena do sypialni wpuszcza
I w zмовie z siostrami do sztuki podusza,
Ten spokój tu znajdzie w zbyt czułych ramionach
Artysty, artystki w orłowskich salonach.

Tu birbant, poeta w koszuli bordowej
Niejedną bachatę przetańczył i sonet,
I nie odstępując na krok filiżanki,
Do kawy rymował, swej wiernej kochanki.

Lub oczy zaszkłone pięknej sopranistki,
Co zna swoją przyszłość od starej wróżbitki.
Rzuca w zapomnienie strony partytury,
Zapłakana tańczy w rytm dezynwoltury.

Albo stary rzeźbiarz, nigdyś nauczyciel,

Raczy papierosem dawne uczennice,
Które portretował, aby żyły wiecznie
Piękne i beztroskie, i szesnastoletnie.

Salony orłowskie, orłowskie salony –
Tu grzech każdej muzy będzie odpuszczony.

II

Gęsta atmosfera mdli mnie brudem myśli,
Muszę się przewietrzyć, muszę się oczyścić,
Muszę przestać mylić księżyc z żyrandolem,
Spać z rajskiej drabiny i strzepnąć sen z powiek.

(Łapiesz w dwa palce kryształową literatkę i wycierasz ją kraciastą ściereczką).

Myję stopy w morzu, łydka burzę fale,
(Nic dziś nie napiszę, jak tak pójdzie dalej),
Wrócę tam. Zamówię herbatę i koniak.
Powstanie dziś fraszka, madrygał lub oda.

(Trzymasz literatkę między czułym wskazującym a stanowczym kciukiem).

Zatańczę z poetą, z malarzem, z pianistą,
Zatańczę ze Stwórcą, zatańczę z Mefisto,
Zatańczę z wszystkimi, i z tobą też mogę!
Zatańczę, bym mogła podstawić ci nogę...

(Twoje palce tańczą z literatką ruchem wirowym w metrum trzy czwarte).

Przyciskam do piasku dłoń, stopę, kręgosłup,
Nie wrócę, Mefisto, nie pójdę po prostu,

On znów mnie ugodzi chybionym uśmiechem –

(Wypuszczasz ją z dłoni, upada z kretesem).

III

wracam

zamawiam

koniak herbatę

belzebub rubaszny

łaskocze mnie batem

i szepcze do ucha

pocałuj go w skroń

a idź ty do diabła

idź precz mówię doń

do twarzy unoszę

pierwszą kwadrę z makiem

potrącam

niesforna

kieliszek z koniakiem

okrągły rogalik

jak

fotel bujany

Poncjusza Piłata

lukrowany uśmiech kata

a herbata z kardamonem

lamentuje w dobrym tonie

stabat mater doloresa

weź mnie w dłonie i

namieszaj

mi w głowie

swym słowem

na stronie
przyciśnij zacałuj
na śmierć mnie
pomału
kraciastą ściereczką
zmywam zbrodnię wszeteczną
utnę szloch twój w dwóch łykach
herbaciana mateczko
nic się nie stało
i nie martw się niczym
nie koniak mnie martwi
co się z niczym nie liczy
gna w tany z parkietem
awanturniczy
lecz uśmiech twój kwietny
jesiennie słotny liryczny
którym raczysz mnie gorzko
znów mi płoną policzki
dokładnie tak samo
i na jedną modłę
uśmiechnąłeś się dawno
i powtarzasz to podle
po tym jak palce
pierwszy raz się objęły
jak kształt w układance
zgubiony gdzieś kiedyś
znaleziony w szparze
między framugą a ścianą
tą ścianą o którą
nam było za mało
po dwunastu latach sześciu

miesiącach dwudziestu trzech
dniach
po tym jak na przemian
łóżko mech
podłoga piach
po tym jak kocha
pożąda
miłuje
zmieniło się w może
ją lubi
szanuje
po tym jak już tyle razy
zmarłam przy cholernym stole
palce włosy stopy piersi
w twoich dłoniach widzę swoje
i że amor się powiesił
dowiedziałam się od ciebie
lecz bynajmniej nie dlatego
nasza miłość jest dziś w niebie
to ty z zimną krwią zabiłeś
ty zabiłeś ją kochany
tym że już nie ze mną chciałeś
dzielić życie cztery ściany
i że nie mnie portretować
chciały twoje zwinne ręce
nawet gdy tańczyłam walca
w ulubionej twej sukience
a gdy wpięłam mak za ucho
kojarzyłeś maki ze mną
powiedziałeś tylko głucho
że tak kwiaty szybciej więdną

i jak w tańcu
sierpem
z lukrem orzechami
ugodziłeś mnie szepcząc
że koniec już z nami
zabiłeś ją skarbie
zabiłeś brutalnie
uśmiechasz się dzisiaj
unosisz lewą brew
tak często to robisz
ciekawe czy ona
czy ona to wie
uśmiechasz się dzisiaj
unosisz lewą brew
i masz mak na zębach
a na rękach krew
odrzucam ściereczkę
we łzach tonąc troszeczkę
chcę utopić to wszystko
więc mnie utop
Mefisto
myję twarz pod kranem
wtęm dostrzegam w lustrze
czarny mak na ustach
ja również
Adamie
skosztowałam
jabłuszka